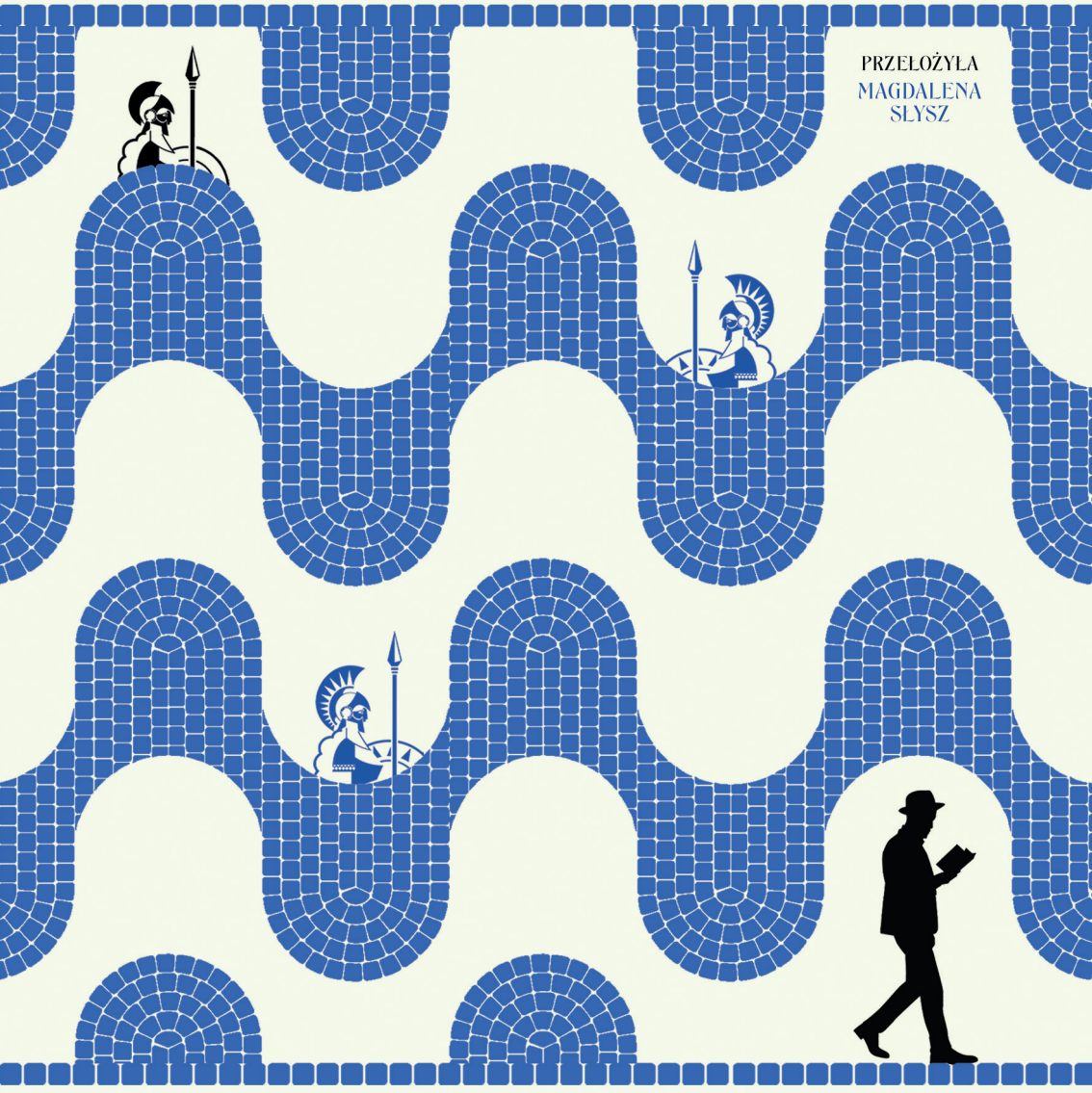
Syn nikogo



PRZEŁOŻYŁA
MAGDALENA
SŁYSZ

AUTOR *ŻYCIA PI*, ZDOBYWCA NAGRODY BOOKERA

Yann Martel

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SON OF NOBODY

Copyright © Yann Martel 2026
By arrangement with Westwood Creative Artists Ltd.
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2026
All rights reserved

Redakcja: Aldona Sieradzka-Krupa
Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska
Projekt graficzny okładki: Rafaela Romaya
Adaptacja okładki: Agnieszka Drabek
Ilustracje w książce: © Kima Lenaghan 2025
Ilustracje na okładce: Shutterstock

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYDAWNICTWO
ALBATROS

NOTA OD AUTORA



Było sobie kiedyś naczynie z gliny, upadło i się rozbiło. Był sobie kiedyś człowiek i on też upadł.

Zacznijmy od tego pierwszego, Helen. Kilka lat temu natknąłem się na skorupy glinianego naczynia. To było w Oksfordzie, gdzie miałem spędzić rok. Kiedy zapoznawałem się z Wydziałem Studiów Klasycznych, spotkałem kuratorkę zbiorów starożytnej Grecji z Muzeum Ashmolean, tak się składa, że też pochodzącą z Kanady. Zaprosiła mnie, abym obejrzał niezliczone muzealne skarby, z których tylko ułamek jest udostępniony publiczności. Więc pewnego wrześniowego przedpołudnia poszedłem, wciąż z zaczerwienionymi od jetlagu oczami, do tego wspaniałego muzeum i znalazłem się w pomieszczeniu bez okien, oświetlonym lampami jarzeniowymi, ze stołem pośrodku i z ustawionymi wzdłuż wszystkich ścian szafami o wielu szerokich i płytkich metalowych szufladach.

Kuratorka zdążyła powiedzieć: „To Pracownia Studiów Starożytnych. Większość zebranych tu artefaktów pochodzi z okresu archaicznego, czyli z czasów od ósmego do piątego wieku przed naszą erą…", gdy zadzwonił jej telefon.

Odebrała i od razu wyraźnie się zaniepokoiła.

– Już? – spytała ze zdenerwowaniem w głosie. – Będę tam za minutę.

Zakończyła rozmowę i zwróciła się do mnie.

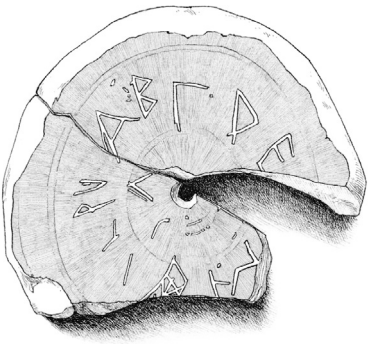
– Muszę się czymś zająć. – Po chwili wahania dodała: – Niedługo wrócę. Nie musisz wychodzić. Jeśli zechcesz coś wziąć do ręki, to w nitrylowych rękawiczkach. – Wskazała pudełko niebieskich gumowych rękawiczek na stole. I już jej nie było.

Rozejrzałem się zdezorientowany. Przyszedłem tylko z wizytą towarzyską. Jestem – czy raczej b y ł e m – badaczem Homera, a studia homeryckie opierają się zasadniczo na tekście. A nawet na czymś jeszcze mniej materialnym: pierwotnie był to przecież przekaz ustny. Wiem o starożytnej ceramice tyle, ile powinien wiedzieć badacz Homera.

Szuflady miały cienkie srebrne uchwyty, które aż zapraszały moje palce, żeby je ująć. Wybrałem jedną z nich na chybił-trafił: „Czerwonofigurowa ceramika attycka". Szuflada początkowo stawiła lekki opór, ale po chwili wysunęła się gładko, niezauważalnie jak sam czas; prowadnice cicho zaskoczyły, gdy otworzyła się do końca – była dość głęboka – i ukazały się gliniane skorupy z innej epoki: leżały na białej piance, starannie ułożone w rzędach i kolumnach. Większość z nich była ozdobiona poucinanymi rysunkami, ale niektóre miały na szkliwie inskrypcje. Kuratorka wspomniała o okresie archaicznym. To oznaczało, że skorupy z napisami – ostrakony, mówiąc fachowym językiem – pochodzą z czasów po trwającej ponad trzysta lat zapaści cywilizacyjnej, nazywanej greckimi wiekami ciemnymi, kiedy zaczęto utrwalać na glinie ulotne słowa, prowadzić pierwsze zapiski. To właśnie wtedy, po wiekach przekazywania z ust do ust, zostały spisane *Iliada* i *Odyseja*, pierwsze książki w kulturze Zachodu.

Zamknąłem szufladę, włożyłem gumowe rękawiczki i otworzyłem następną, a potem następną. Zawartość każdej z nich ukazywała się moim oczom niczym krajobraz. Szukałem ostrakonów, bo mimo że stara ceramika grecka nie była moją specjalnością, to stare słowa już tak. Dobrze znałem starożytną grekę i miałem talent do jej odcyfrowywania.

Pojawiły się słowa, w całej chwale tego nieporadnego wczesnego pisma. Miałem wrażenie, że znalazłem się w hałaśliwej wylęgarni i że pisklęta próbują coś powiedzieć, gdy się przewracają, ćwierkają cicho, trzepoczą nieopierzonymi skrzydełkami. Przypomniałem sobie ciebie, Helen. W pierwszych klasach szkoły podstawowej ty też tak pisałaś – swoje imię i nazwisko, jakieś słowa, proste zdania – topornymi literami, fonetycznie.



W głębi jednej z szuflad, po prawej stronie, zauważyłem sześć ostrakonów, które najwyraźniej, sądząc po liniach pęknięć, były częściami całości. Wziąłem największy kawałek. Litery były niezgrabne. To musi być theta, Θ. Czy to sigma, Σ? Obracałem skorupę w dłoni. Wreszcie się zorientowałem. Wspak? Tak, oczywiście. Co to za słowo? Urywało się, ale dalszy jego ciąg widniał na następnym fragmencie ceramiki, chociaż z błędem; ten, kto je pisał, na pewno miał na myśli „z powodu", ENEKA. Co mówią te ostrakony?

Z pewnym trudem odtworzyłem osiem następujących wyrazów w grece, wszystkie napisane dużymi literami, w czterech zakrzywionych, ułożonych jedna nad drugą, linijkach:

ΝΕΑΘΥΑΤΝΕΙΜΙΕ
ΕΚΑΨΟΑΝΤΟΣ
ΣΑΕΔΙΜΥΟΤ
ΟΥΤΙΝΟΣΥΙΟΥ

Z chwiejnych liter wczesnych greckich zapisków z okresu archaicznego od tysiącleci bije niepohamowane uczucie: przyprawiający o zawrót głowy, niemal dziecięcy entuzjazm. Jak można się spodziewać po wynalazku pragmatycznych amatorów – niepiśmiennych greckich kupców z wysp i wybrzeży wschodniej części Morza Śródziemnego, którzy swobodnie przekształcili alfabet fenickich handlarzy, też bynajmniej niebędących skrybami – pismo to świadczy o błogiej nieświadomości zasad i konwencji: biegnie w dowolnym kierunku. Widywałem już inskrypcje od prawej do lewej strony, od lewej do prawej, pionowo w górę, pionowo

w dół, spiralnie, ukośnie i do góry nogami. W wielu przypadkach łączono dwa sposoby. To kompletne i cudowne szaleństwo.

Jeden z preferowanych wczesnych sposobów pisania jest łatwy do prześledzenia dla oka i palca. Litery, które miałem przed sobą tamtego przedpołudnia, były tego doskonałym przykładem. W dokładnym tłumaczeniu brzmiały:

WOPZUTMETSEJ
ODUPSOASAZ
ANYSIEDIM
NIKOGO

A po rozdzieleniu słów (co było praktyką przyjętą znacznie później):

WOP Z UT METSEJ
ODU PSOASA Z
ANYS IEDIM
NIKOGO

Ten sposób pisania nazywa się bustrofedonem; to jedno z najładniejszych angielskich słów, od greckiego „zawracając woły" (przy orce), czyli w odniesieniu do tekstu pismo biegnące naprzemiennie w obu kierunkach; pierwszą linijkę czytało się więc od prawej do lewej strony, drugą – od lewej do prawej i tak dalej. Gdy dociera się wzrokiem do końca linijki bustrofedonu, wręcz słyszy się dźwięk dzwonka na szyi zwierzęcia i widzi nad sobą szerokie błękitne niebo, kiedy wół dochodzi do skraju pola i zawraca, żeby wytyczyć nową bruzdę, a strona staje się arem uprawianej właśnie ziemi.

Pamiętam, Helen, że kiedy w szkole uczyłaś się czytać, powiedziałaś, że czujesz się, jakby pod koniec każdej linijki wypychano cię z samolotu. Trudno ci było wylądować na spadochronie swojego rozumienia tekstu tam, gdzie należało, na tym malutkim polu po drugiej stronie kartki. Często lądowałaś na innym. Sfrustrowana, buntowałaś się przeciwko nakazom nauczycielki i stałaś się w tym bardzo dobra. Czy to czytałaś zdanie głośno na wspak, czy, pisząc, zawracałaś jak orzący wół, twoje kształtujące się umiejętności czytania i pisania wydawały się idealne do

rozczłonkowanych narracji, zdyszanych, nieskrępowanych i dziwnie satysfakcjonujących. Uwielbiałem to.

Pani Adamson, twoja nauczycielka w drugiej klasie, wręcz przeciwnie. Dość tego, uznała. To musi się skończyć. Ale kiedy córka, cała we łzach, po raz drugi wraca do domu z testem, w którym wynik 0/10 jest zakreślony jaskrawoczerwonym flamastrem, ojciec musi wziąć sprawy w swoje ręce. Któregoś dnia po lekcjach wkroczyłem do klasy pani Adamson z podręcznikiem akademickim w rękach.

– Ona stosuje bustrofedon – wyjaśniłem jej. Pokazałem zdjęcia z przykładami ze starożytnej Grecji. – To naturalny sposób pisania i czytania. Czy w naszych głowach następują przerwy między linijkami tekstu? Nie, są tylko wijące się bruzdy myśli. Powinniśmy czytać i pisać tak, jak uprawiamy ziemię. W naszym systemie zdania są poszatkowane, a to niedobrze… Po co w ogóle wprowadziliśmy zmiany?

Pani Adamson, nauczycielka z trzydziestoletnim stażem, popatrzyła na mnie spokojnie i odrzekła:

– Nie wiem, panie Donne. Może dlatego, że nie żyjemy już w starożytnej Grecji? Helen nie może pisać w ten sposób, zygzakować po całej stronie. Wyobraża pan sobie, że pisze tak podanie o pracę? Nie dostałaby jej!

– Nie martwmy się na razie o jej szanse zawodowe. Ma siedem lat. Wszystko w swoim czasie. Musiało minąć ponad trzysta lat, zanim Grecy w piątym wieku przed Chrystusem ustalili kierunek pisma. Niestety, wół trafił na zieloną trawkę.

Pani Adamson przewróciła oczami.

Zgodnie z obecnymi zasadami pisowni zdanie na ostrakonie czyta się tak (i bądźmy szczerzy, czy nie wygląda ono, jakby zostało pocięte na pasy przez jakiegoś składniowego rzeźnika? Gdzie ten taneczny ruch głowy, kiedy podąża się za bustrofedonem?):

JESTEM TU Z POW
ODU PSOASA Z
MIDEI SYNA
NIKOGO

Zapisałem to zdanie w notesie, który zawsze noszę przy sobie, czytając je na głos, sylabizując. P s o a s? To było imię męskie, cztery greckie

litery w mianowniku, psi, omikron, alfa i sigma, ps-o-a-s, z akcentem na o. Dziwne imię, ale we wszystkich kulturach są imiona zwyczajne i inne, niezwyczajne.

Wróciła kuratorka.

– Ach, rozgościłeś się.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Zobacz, gumowe rękawiczki. To dziwne, prawda? – powiedziałem, usuwając się na bok, żeby pokazać jej sześć ostrakonów, które położyłem na stole.

– One wszystkie są dziwne – odrzekła.

Wciągnęła rękawiczki, ostrożnie wzięła największą skorupę i poszła z nią do stojącego w pobliżu komputera. Wstukała numer inwentarzowy, którym ostrakon był dyskretnie opisany.

– Ten i pięć pozostałych wykopano w sanktuarium w paśmie górskim Hymetu, niedaleko Aten, poświęconym Zeusowi. Udało się ustalić całkiem dokładne datowanie: o k o ł o roku siedemset dziesiątego przed naszą erą. Inskrypcja głosi: „Jestem tu z powodu Psoasa z Midei, syna nikogo".

– Sam też do tego doszedłem. I mówisz: pasmo górskie Hymetu?

– Tak. Z bazy danych wynika, że mamy drugi komplet ostrakonów z tej samej okolicy, inskrypcja wyszła spod innej ręki, ale głosi mniej więcej to samo. Kończy się na „s"... pewnie w słowie „syn"... i „tu" zostało napisane z błędem. Jest jeszcze jeden komplet, złożony z pięciu fragmentów, napis wykonany trzecią ręką, również ze wzmianką o Psoasie. Ta inskrypcja brzmi: „Psoas walczył dalej, aż wypełniło się jego przeznaczenie". P r z e z n a c z e n i e... ponura sprawa.

– Kim był Psoas? – Zadumałem się.

– Zeus jeden wie. Te ostrakony prawdopodobnie były dziełem uczących się pisać, co by tłumaczyło chwiejne litery i błędy. Ich nauczyciel był pewnie skrybą w sanktuarium.

– Osobliwy przydomek, „syn nikogo". W społeczeństwie patriarchalnym to byłoby obraźliwe. Kazać uczniom w ramach ćwiczenia przepisywać zdanie z obelgą... coś niespotykanego.

– To mogły być tabliczki z klątwami... *katadesmoi*.

– Ale jak na *katadesmoi* to byłoby dość wcześnie, nie sądzisz? I słowa nie pasują. Gdybyś chciała, żeby bóg przeklął kogoś, kogo nienawidzisz, próbowałabyś zwrócić jego uwagę. Na takich tabliczkach prawie zawsze

przywoływane jest bóstwo. A tu nie ma wzmianki o Zeusie ani żadnym innym bogu, jest tylko deklaracja obecności ze strony zwykłego śmiertelnika, „jestem tu". To dziwne.

– Rzeczywiście dziwne... Witaj w moim świecie. I witaj w Oksfordzie.

Wyszedłem z Ashmolean. Wracając pieszo do Magdalen College, myślałem o pewnym zbiegu okoliczności: byłem w Hymecie na początku studiów uniwersyteckich, w czasach wędrówek z plecakiem, gdy będąc bez pieniędzy, imałem się prac, jakie tylko się trafiły, żeby mieć na nocleg i jedzenie: uczyłem angielskiego, sprzątałem toalety albo zmywałem naczynia; czasami sypiałem w parkach albo na plażach, a jednak czułem się bogaty, bo miałem cały świat. Starożytne sanktuarium Zeusa znajduje się na wschód od Aten, łatwo dostępne, ale rzadko odwiedzane przez turystów, którzy raczej ruszają na przylądek Sunion, gdzie znajduje się wspaniała świątynia Posejdona. Ale ja udałem się do tego sanktuarium. Królowały tam ciemnozielone liście i kruszący się marmur, poznaczony ze starości czarnymi żyłkami. Spędziłem tam kilka godzin, w pyle, zupełnie sam; uległem urokowi spokoju, roztaczanemu przez pozostałości starożytnej Grecji, łagodne słońce, lekki wiatr, od czasu do czasu beczenie owiec i szepty duchów kryjących się w ruinach. Czas płynął niezauważenie i z głową wolną od zmartwień i trosk, bez więzów do rozsupłania, zagadek do rozwiązania, dałem się ponieść zachwytowi. W tamtej chwili wszystko stało się dla mnie jasne, ale bez chłodu czysto rozumowego pojmowania: życie to blask i prostota, a życiowe wyzwanie – pozostać wiernym temu blaskowi i prostocie. Miałem ze sobą gliniany garnuszek miodu, który kupiłem na przydrożnym straganie. W czasach starożytnych Hymet słynął z miodu tymiankowego. Właśnie gdy jadłem ten złoty miód z białym serem na kromce świeżego chleba w sanktuarium Zeusa, zakochałem się w starożytnej Grecji i postanowiłem poświęcić życie studiom klasycznym. Po zbyt wielu latach spokojnego dryfowania i przypadkowych zajęć Hymet stał się moim Araratem. Zaczynałem późno, ale z pasją.

Zastanawiałem się teraz, czy człowiek o dziwnym imieniu Psoas także jadł miód tymiankowy w górach Hymet. Kim był? Jaka była jego historia?

Z czasem poznałem – więcej, ożywiłem – Psoasa z Midei. Syn nikogo spoczywał pogrzebany w starożytnych papirusach i wyblakłych kodycylach, nawet na tabliczkach z pismem klinowym, odkrywanych tu i tam,

przeważnie nieprzetłumaczonych z oryginalnego języka, ze zniekształconym imieniem, jak to bywa w przypadku imion nietypowych, ale tam był, był tam, ze swoją historią, którą należało opowiedzieć.

Jednak tamtego dnia, kiedy oglądałem tych sześć ashmoleańskich ostrakonów, wziętych do ręki jedynie przypadkiem, w sumie mniej ciekawych przedmiotów z wielkich zbiorów muzeum, *Psoady* (jak zacząłem nazywać ten zaginiony poemat epicki) jeszcze nie było. Było tylko kilka starożytnych inskrypcji wykonanych przez uczniów na skorupach. Więc to jest nie tylko opowieść – a właściwie epos grecki – ale też opowieść w opowieści.

Jak to dobrze przedstawić, w całości? Początkowo myślałem, że będę mówił o *Psoadzie* w trzeciej osobie, głosem jak zza jednej z wielkich masek ze starożytnego teatru greckiego, głośno i wyraźnie. To standardowy głos pracownika naukowego, autorytatywny i nieco bezosobowy, mniej więcej w tym stylu:

> Badacz z Kanady Harlow Donne próbował usłyszeć i z czasów antycznych wydobyć pieśń zaginioną o słynnej wojnie trojańskiej.

Głosy Ateny, bogini mądrości, i Apolla, boga prawdy. Trzecia osoba ma tę zaletę, że daje wrażenie równowagi, perspektywy, przestrzeni. To chłodniejszy głos, ćwiczenie umysłu.

Ale kogo próbuję oszukać? Grecka maska stale opada. Mówienie o sobie „on" albo „ona" to illeizm, a ja – z dziadkiem nauczycielem plastyki w szkole średniej, babcią urzędniczką, z ojcem będącym skromnym synem z niezamożnej rodziny – nie jestem illeistą. Narrator pierwszoosobowy wywołuje uczucie zażyłości, bliskości, ciepła. Przybiera smutną twarz i pozwala sobie na ciche wyznania. Na przykład:

> Jako ojciec zawiodłem cię, Helen, i jako mąż zawiodłem twoją matkę.

Głosy Afrodyty, bogini miłości, i Aresa, boga wojny.

Na dalszych stronach będę mówił własnym głosem, w pierwszej osobie, jako ten, który zawsze cię kochał, moja najdroższa Helen. To wciąż ja. Ja we własnej osobie. Twój tata.

Te strony są podzielone na dwie części. Jest część górna i część dolna, oddzielone kreską. To typowy format prac naukowych: tekst i przypisy. Widziałaś publikacje, nad którymi pracowałem. Nie jest tajemnicą, że kiedyś miałem aspiracje, aby być poważnym naukowcem. Kiedy pisałem, wyobrażałem sobie, że czytam ci historię i co jakiś czas przerywam, żeby zwrócić na coś twoją uwagę.

A może górna część strony to otwarte okno, w którym twoja matka i ojciec obrzucają się nienawistnymi słowami – inny rodzaj wojny epickiej – podczas gdy ty kulisz się na dolnej, nieszczęśliwa i przejęta, usiłując powstrzymać łzy.

Nieważne, zapraszam cię do takiej lektury, przy jakiej upierała się pani Adamson, od lewej do prawej strony linijki i od góry do dołu strony. W taki sposób czytamy my, dzieci Homera.

Fragmenty *Psoady*, które udało mi się wydobyć z niebytu, opatrzyłem tytułami i ułożyłem w porządku, który wydawał się najbardziej odpowiadać chronologii dziejów Psoasa, poczynając od *Prologu* z inwokacją do boskiej Muzy w pierwszych wersach. To tradycja epiki starogreckiej. Dzięki temu, że zwracali się do bogów, aojdowie prezentowali swoje utwory nie jako tanie garnki z gliny, wypalane w małych piecach własnej wyobraźni, lecz jako naczynia będące darem wysokiego Olimpu – żeby ludzie uważniej słuchali. Zwrócenie się do Muzy miało też w pewnym stopniu chronić przed krytyką: „Jak to? Śmiesz wytykać wady bogom, ty marny robaku?". To lokowało pieśń w ponadczasowej tradycji, nawiązywało do przeszłości i jeśli pieśniarz dobrze się spisał, zapewniało jej przyszłość; szczęśliwy aojda mógł nawet dzięki niej zyskać nieśmiertelność.

Wszystkie cytaty z Homera pochodzą ze zwięzłego, płynnego przekładu Stephena Mitchella.

Na końcu każdego fragmentu znajdują się przypisy, z odpowiednim cytatem, dla przypomnienia, i numery wersów, żeby łatwiej było odnaleźć miejsce, na przykład: „Stał Psoas na skrawku ziemi, z którego wkrótce słońce i deszcz miały wywabić plamę winnego koloru" (114–115). Przypisy mają różną formę, wręcz niejednolitą, przyznaję, ale wyjaśnienia i wspomnienia właśnie takie są, niekoniecznie następują w jakimś porządku. Czas może biec w linii prostej, ale pamięć tak nie działa. Przypisy też coś wnoszą. Nie pomijaj ich. Wszyscy wiedziemy życie, które stanowi przypis do większej opowieści.

Wszystko poszło nie tak, jak to bywa z większością wojen. I proszę, gdzie wylądowałem. W tych strasznych, pożółkłych ścianach. Przez okna wpada tak niewiele światła. W Hadesie nie mogłoby być gorzej.

Wojna zawsze była wylęgarnią rzeczy przerażających. Sam pośrednio tego doświadczyłem. Kiedy byłem mały, wciąż mi powtarzano, żebym nigdy nie pytał dziadka o przeżycia wojenne. Któregoś razu, gdy matka przestrzegała mnie przed tym, babcia, która akurat była obok, z powagą skinęła głową na potwierdzenie. Ten temat wprawiał dziadka w przygnębienie; lepiej było o wojnie nie wspominać. Moi starsi bracia, Luke i David, wzmocnili ten przekaz, przyciskając mnie do podłogi, spluwając mi na twarz i dla większej jasności machając pięściami i grożąc śmiercią. Ale jednocześnie nie omieszkali wspomnieć, że dziadek był prawdziwym żołnierzem, walczył w wietnamskiej dżungli – ogień artyleryjski, miny lądowe, walka wręcz, Agent Orange, krew i flaki, takie rzeczy. Opuścił kraj, za który się bił, gdy tylko został zwolniony ze służby, porzucił Stany Zjednoczone dla Kanady i nigdy, ani razu, tam nie wrócił.

Ja i bracia po kryjomu nazywaliśmy staruszka Panem Zmarszczką, ale równie dobrze mogliśmy mówić o nim Pan Latarnia Morska, bo to bardziej odpowiadałoby jego naturze. Chociaż mieszkał z nami w ostatnich latach swojego życia, był jak coś dalekiego i samotnego, co od czasu do czasu błyska.

Lepiej by było, gdyby ten temat nie został poruszony. Ale jak to z dzieckiem. To było jak prosić się o nieszczęście. Pewnego dnia, gdy nikogo nie było w pobliżu, podszedłem do trzęsącego się od parkinsona dziadka, który siedział w wygodnym fotelu w salonie, i zapytałem:

– Dziadku, jak było na wojnie?

Potem stałem i czekałem z miną aniołka. Pan Zmarszczka nie odpowiedział od razu. Nie wątpiłem, że przywoływał i selekcjonował wspomnienia, konstruował barwną opowieść dla wnuka. Ale nie. Odwrócił się do mnie, poruszając wargami, mamrocząc coś cicho, a potem z jego ust wydobył się dobitny szept:

– Kurewsko jej nienawidziłem.

Cały on: tylko mamrotanie i bełkot, aż tu nagle przejaw jasności umysłu. Zszokowało mnie to słowo na k. Jakiekolwiek drzwi otworzyłem w umyśle dziadka, szybko zatrzasnąłem te same w swoim. Kiwnąłem głową i prędko odszedłem. Przez resztę dnia się martwiłem: oby tylko nie

wspomniał rodzinie, że poruszyłem zakazany temat. Wieczorem przy kolacji byłem cichy i posłuszny, zjadłem wszystko, wylizałem talerz i wstawiłem go do zmywarki. Umknąłem do swojego pokoju, gdy tylko mogłem. Miałem nadzieję, że dziadek zapomni o naszej wymianie zdań.

Nie zapomniał. To ja o niej zapomniałem. Kilka dni później, kiedy w błogiej nieświadomości przechodziłem przez salon, dosięgła mnie szponiasta łapa. Pan Zmarszczka przyciągnął mnie do swojej zniszczonej, kiepsko ogolonej twarzy i ust tchnących nieświeżym oddechem. Rzucił ochrypłym głosem:

– Jesteśmy kryjówkami dla potworów.

I w jego zapadniętych niebieskich oczach pojawiły się łzy.

Przeraziłem się. Gdy tylko mnie puścił, uciekłem. Ta chwila przypieczętowała nasze dalsze stosunki. Unikałem dziadka przez resztę jego życia; mały kamyk wywołał lawinę. Przyznaję się do tego ze wstydem. Potrafię wytłumaczyć swoje zachowanie. Miałem siedem lat. Co sobie myślał ten stary człowiek, mówiąc coś takiego do dziecka? W dodatku dziecka zamkniętego w sobie, a takim byłem. Czy to mnie usprawiedliwia? Nigdy nie powiedziałem dziadkowi, że nie wygląda na kryjówkę dla potworów. Nigdy nie wyciągnąłem ręki, żeby go dotknąć, żeby podać mu dłoń ani dać mu się uścisnąć. Po prostu odsunąłem się od niego – a później na jego pogrzebie płakałem rzewnymi łzami.

Był człowiekiem, którego wojna na zawsze odgrodziła od życia. Przypuszczam, że parkinson, na którego chorował długo, od wczesnego wieku, stanowił fizyczną, chorobową manifestację dawnego, głębszego drżenia, gdy był młodym mężczyzną na wojnie.

Być może kiedy dojrzałem, nieświadomie zainteresowałem się *Iliadą* Homera pod wpływem wypowiedzi dziadka. Brał udział w jednej z wielu dwudziestowiecznych wojen trojańskich. Dlaczego nie zająć się badaniem pierwowzoru, pierwotnej kryjówki dla potworów?

I oto, Helen, efekt moich badań.

STRESZCZENIE: „Człowiek i jego błędy. *Psoada*: Rekonstrukcja zaginionej relacji z wojny trojańskiej"

H. Donne, *Oksford*, doktorant

Pewien człowiek przybywa na obcy brzeg. Jego wyprawa niesie ze sobą obietnicę, więc wiąże on z nią wielkie nadzieje. Bardzo się stara. Wszystko idzie nie tak. Człowiek ten mógłby wiele o tym opowiedzieć, ale jego relacja zaginęła – aż do czasu, gdy inny człowiek przybywa na inny obcy brzeg, także pełen wielkich nadziei.

Najsławniejsze opowieści o wojnie trojańskiej i jej następstwach to *Iliada* i *Odyseja* Homera. Nie są to jednak jedyne historie o wojnie śpiewane antycznym słuchaczom przez aojdów. Były jeszcze inne, ale przepadły; pozostały po nich tylko echa i fragmenty, wszystkie zebrane w dziele znanym dziś jako *Cykl epicki*. W tej pracy wydobywam na światło dzienne z mroków przeszłości zaginioną opowieść o wojnie trojańskiej. Podczas gdy w *Iliadzie* perspektywa wszechwiedzącego Homerowego narratora odpowiada punktowi widzenia greckiej elity, w *Psoadzie* to plebejusze zabierają głos i mają dużo do powiedzenia o swoich przeżyciach pod Troją.

Chcę dowieść, że bohaterowie *Cyklu epickiego*, w tym przypadku Psoas z Midei, stworzyli przestrzeń dla postaci będącej ich dopełnieniem, Jezusa z Nazaretu, innej fundamentalnej figury Zachodu, która miała się pojawić, drugiej połówki pełnego głębokich sprzeczności bohatera kultury zachodniej, zdolnego zarówno nienawidzić, jak i kochać z niepokiełznaną pasją.

Odpowiadając na naturalnie pojawiające się pytanie o to, co jest faktem, a co fikcją: prawdziwe pod względem faktograficznym (jeżeli w ogóle fakty na dany temat są dostępne) jest wszystko, co ma związek z wczesnym piśmiennictwem, Homerem, *Iliadą*, Oksyrynchos, Ewangeliami, Mideą i czymkolwiek innym, co dotyczy gniazda, w którym zostaje złożone Psoadowe jajo, podczas gdy Psoas i *Psoada*, czyli samo jajo, z dużym prawdopodobieństwem stanowią fikcję, ponieważ nie ma dla nich weryfikowalnej podstawy faktograficznej. Ale nie jest to tak istotna różnica, jak mogłoby się czytelnikowi wydawać, gdyż *Iliada* Homera – a w gruncie rzeczy wszystkie relacje o wojnie trojańskiej – to także fikcja, tyle że lepiej udokumentowana. Mówimy tu o micie. Oba te poematy są

świadectwem wyobraźni ówczesnych ludzi i z braku danych historycznych pięknie ukazują świat starożytnych Greków (a właściwie kładą jego podwaliny). Aojdowie dokonują czegoś niezwykłego: sprawiają, że fakty są niepotrzebne. Czy, określając to inaczej: ich opowieści stają się faktami, tak solidnymi, że można na nich budować.

Na podstawie wzmianek i skrawków, ledwie słyszalnych szeptów sprzed tysięcy lat zdołałem złożyć trzydzieści spójnych fragmentów *Psoady*, które przedstawiam niżej w tłumaczeniu, z przypisami do całego tekstu. I w tym miejscu zwyczajowe zastrzeżenie: jestem tych fragmentów jedynym autorem oraz wyłącznym tłumaczem i to ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność za wszystkie błędy, usterki, niewłaściwe interpretacje, skandaliczne zniekształcenia, niewiarygodne przeskoki, wątpliwe wygładzenia, zupełne wymysły i wszelkie inne wady i niedociągnięcia, które można by zarzucić każdemu badaczowi odległej przeszłości, na tyle niemądremu, żeby próbować przeniknąć wzrokiem wyblakły atrament, przerwane zdania, zagubione powiązania i inne skutki niszczycielskiego upływu czasu.

Rekonstrukcja tego greckiego eposu była dla mnie sprawą osobistą, czym dzielę się w tej pracy nie dlatego, że chcę zwrócić na siebie uwagę, ale ponieważ chciałbym pokazać, że przeszłość się nie kończy, że zawsze są paralele, nawiązania i powtórki, że zawsze pieśń trwa.

Prolog

Czy zapomniałaś o nim, Muzo? Psoas mu było na imię.
Czy ma p o z o s t a ć na zawsze w mrokach Hadesu
i więcej nie ujrzeć miodowego blasku tej ziemi?
Cóż uczynił, by na tak straszny los sobie zasłużyć?
Pozwól, że o nim zaśpiewam – okaże się, gdzie jego miejsce:
w grocie sklepionej ust śmiertelnych, jak je nazywają,
skąd trzepot języka wieczną obdarzy go chwałą,
czy w krainie wilgotnej, ciemnej, cichej i zimnej,
gdzie nieszczęśnicy snują się błędnie jak cienie?
Psoas, powiadam, miał on na imię i był moim druhem. 10

***Czy zapomniałaś o nim, Muzo?* (1):** Widzę cię na szczycie schodów, cień w piżamie z jednorożcem. Zawsze niechętnie kładłaś się spać. Nie to, że bałaś się ciemności. Uważałaś, że sen to strata czasu. Tracić przytomność i świadomość, gdy można nie spać i dobrze się bawić? Rytuał był zawsze taki sam.

– Wracaj do łóżka, Helen – mówiłem ci.
– Nie – odpowiadałaś z mocnym przekonaniem.
– Już późno. Powinnaś spać.
– Nie chcę.
– Jesteś zmęczona.
– Nie jestem.
– Nie schodź po schodach, młoda damo.
– Opowiedz mi jakąś historię.
– Pracuję.
– Zawsze pracujesz.
– Nie, wcale nie.
– Gdzie mama?
– Też pracuje. Siedzi do późna.

– Widzisz. Zawsze pracujecie.

– To nieprawda.

– Opowiedz mi jakąś historię.

– Wracaj do łóżka.

– Nie wrócę.

Cisza.

– Tylko jedną historię, p r o s z ę – błagałaś.

– Dobrze. Chodź, usiądź przy mnie.

Zawsze stawiałaś na swoim. Czy to znaczy, że jestem złym ojcem? Ale gdybym stanowczo wyznaczył jedną z tych granic, o których mówią na kursach dla rodziców, pomaszerowałabyś wściekła na górę i po minucie usłyszałbym twój daleki głos: „Nie śpię!", po kolejnej minucie „Nie śpię!", po kolejnej „Nie śpię!" i tak dalej i dalej, jak szczekający pies. A gdyby to ustało i zapadłaby cisza, wiem to bez cienia wątpliwości, że kiedy wszedłbym na palcach po schodach, gratulując sobie zdolności rodzicielskich, siedziałabyś na łóżku, z szeroko otwartymi oczami, wpatrzona w noc, czekając na mnie. Zwabiwszy mnie w swoją pułapkę, posłałabyś mi spojrzenie małej gorgony i wysyczałabyś: „Nie śpię" – a potem j a wpadłbym we wściekłość.

I jeśli postanowiłbym wziąć cię na przetrzymanie, zignorować twoje szczekanie i milczenie, w końcu ponownie zjawiłabyś się na dole i zaczęlibyśmy od nowa.

Więc lepiej po prostu opowiedzieć ci jakąś historię. Umościłabyś się przy mnie na kanapie, co zawsze było urocze, a ja wyjąłbym książkę – uwielbiałem ci czytać – albo raczej zaimprowizowałbym grecki mit – och, męczarnie Dafne, gdy uciekając przed Apollem, zamieniła się najpierw w kreta, potem w skałę, potem w ośmiornicę, potem w orła i w końcu w drzewo laurowe – albo wysnułbym opowieść z niczego – pamiętasz historię Fresha, zgubionego zęba, który pewnego ranka obudził się na brzegu rzeki Limpopo? – aż poczułbym, że wiotczejesz obok mnie, padasz w objęcia Morfeusza, jak to mówią, bo historia zrobiła swoje lepiej od ojca.

Jednak tamtego czerwcowego wieczoru, kiedy zaczyna się nasza opowieść, w pełnej napięcia ciszy przed snem, gdy patrzyliśmy jedno na drugie gniewnie jak wojownicy, którzy mają rzucić się na siebie, ty na schodach, ja przy biurku, z mojego komputera dobyło się wyraźne, dźwięczne p i n g. Odwróciłem się do ekranu.

– Och! Helen, chodź szybko!

Zbiegłaś z tupotem po schodach. Byłaś przy tym, gdy pierwszy raz przeczytałem e-mail z Oksfordu. Cieszyłaś się razem ze mą – skakaliśmy i krzyczeliśmy z radości, odtańczyliśmy kaczuchy, poszłaś spać o wiele za późno – i żadne z nas nie zdawało sobie sprawy z konsekwencji: że cię opuszczę. Ty rozumiałaś tylko, że jestem naprawdę uszczęśliwiony.

***Psoas mu było na imię* (1):** Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym. Cała *Psoada* byłaby stracona – przepadłaby zupełnie – gdyby nie to niezwykłe starożytne greckie imię.

***Pozwól, że o nim zaśpiewam* (5):** Byłem zachwycony, gdy niespodziewanie otrzymałem stypendium, które pozwalało mi się wyrwać z akademickiego Plutona na Preriach Kanadyjskich i polecieć jak kometa ku oślepiającemu Słońcu, jakim jest Uniwersytet Oksfordzki.

Na tę wiadomość, przy śniadaniu, twoja matka, mama, a moja żona Gail, odstawiła kawę, odłożyła telefon i powiedziała:

– Chyba żartujesz?

– Nie – odrzekłem. – Dostałem je. Cały rok akademicki, wszystkie wydatki opłacone: podróż, pokój, zakwaterowanie, czesne i koszty dodatkowe, co do jednego.

– Mówiłeś, że nie masz szans.

– To było mało prawdopodobne. Ale wpłynęły dodatkowe fundusze, co tłumaczy, że tak późno mnie powiadomili.

– Hm, gratulacje, to świetnie. Ale musimy poważnie się nad tym zastanowić. Co z Helen? Kto się nią zajmie?

– Miałem nadzieję, że weźmiesz urlop w pracy i pojedziemy do Anglii wszyscy razem.

– Nie dadzą mi urlopu na r o k.

– To dla mnie niewiarygodna okazja... dla nas. Mam pracować z Franklinem Cubittem, jednym z najsławniejszych badaczy papirusów z Oksyrynchos.

– Czego?

– Zaraz ci wyjaśnię. Gdy...

– Czuję, że zanosi się na wykład.

– Poczekaj. To naprawdę bardzo ciekawe. Gdy w trzysta dwudziestym trzecim roku przed naszą erą w Babilonie, w drodze powrotnej ze swojej niezwykłej wyprawy z Macedonii do Indii, umarł Aleksander Wielki, imperium, które zbudował, zostało podzielone pomiędzy jego dowódców. Ptolemeusz, kolejny Grek urodzony na terenie Macedonii, dostał egipską część tortu i umiejętnie rządził tym krajem. HELEN, ZEJDŹ! ŚNIADANIE NA STOLE! Dynastia Ptolemeuszy panowała trzysta lat. Szczególnie wsławiła się w Aleksandrii. Latarnia aleksandryjska, jeden z siedmiu cudów starożytnego świata, została zbudowana przez jego syna, Ptolemeusza Drugiego, a wielka biblioteka aleksandryjska stała się zbiorem dzieł greckojęzycznych. To właśnie dzięki Aleksandrowi Wielkiemu język i kultura Greków rozprzestrzeniły się po całej wschodniej części Morza Śródziemnego, stąd greckojęzyczni Egipcjanie i greckojęzyczni Żydzi, ludzie należący do dwóch światów. Stąd też napisane po grecku Ewangelie. Kultura grecka rozlała się na każdy...

– Dobrze, słyszę, że jesteś podekscytowany, ale zaraz wychodzimy.

– Tak, wiem. Jeszcze tylko chwila... zakątek regionu, łącznie z dość ważnym miastem, na południe od Kairu, o nazwie Oksyrynchos. Było w nim

coś niezwykłego. Inaczej niż prawie wszystkie pozostałe egipskie miasta nie leżało bezpośrednio nad Nilem, ale rozciągało się wzdłuż jego odnogi, Bahr Jusuf. To znaczy, że Oksyrynchos nigdy nie było zasilane wodami Nilu, a że nigdy nie pada tam deszcz, nigdy, gdy rzeka Bahr Jusuf wyschła, w mieście zabrakło wody. Helen, syrop klonowy czy brązowy cukier do owsianki?

– Brązowy cukier. A do tego jogurt.

– Proszę, brązowy cukier i jogurt. Jedz. Ludzie odeszli niedługo później i w Oksyrynchos zamarło wszelkie życie, łącznie z ulotnym życiem rozkładu materii organicznej. Śmieci na miejskim wysypisku pozostały tam, gdzie były, całkiem wyschnięte i nienaruszone. A wśród wielu rzeczy, które mieszkańcy Oksyrynchos wyrzucali przez jakieś siedemset lat, aż do mniej więcej pięćsetnego roku naszej ery, były zwoje papirusu, zbyt gęsto zapisane, żeby mogły się jeszcze do czegoś nadawać. Cała góra...

– Sądziłam, że one żyją w Ameryce Południowej i Azji...

– Masz na myśli tapira, kochanie. Ciekawe, jaki mógłby być mit grecki o tapirze. Będziemy musieli się nad tym zastanowić. Papirus to rodzaj papieru, otrzymywany z egipskiej trzciny. Pod piaskami Oksyrynchos spoczywała ukryta cała góra greckich zapisków z tekstem po obu stronach, aż w tysiąc osiemset

dziewięćdziesiątym szóstym roku natknęli się na nie dwaj brytyjscy papirolodzy, Bernard Grenfell i Arthur Hunt. Wypij mleko. To jedno z największych odkryć archeologicznych w Egipcie, prawdę mówiąc, większe niż grobowiec Tutanchamona. Grenfell i Hunt prowadzili wykopaliska przez sześć pracowitych zim… a to dlatego, że upał w lecie był nie do wytrzymania. Ich odkrycie okazało się zdumiewające. Na miejskim wysypisku śmieci było wszystko: rachunki, testamenty, petycje, oficjalna korespondencja, akta sądowe, mnóstwo prywatnych listów, no i utwory literackie, często wcześniej nieznane. W środku zmumifikowanego krokodyla Grenfell i Hunt trafili na piękny poemat Safony: był wypełnieniem. Co jeszcze bardziej zadziwiające, znaleźli powiedzenia Jezusa, nawet kilka nieznanych, z Ewangelii Tomasza. Wyłania się z tego… Poczekaj.

Podniosłem dłoń. Gail znowu chciała mi przerwać.

– Już prawie skończyłem. W rezultacie wyłania się z tego, z tysiąca migawek, pełny obraz starożytnego miasta i jego mieszkańców. Tom pierwszy papirusów z Oksyrynchos został wydany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Tom osiemdziesiąty siódmy wyszedł w dwa tysiące dwudziestym trzecim. Spodziewamy się jeszcze co najmniej trzydziestu. Mam nadzieję, że się do tego przyczynię.

– Dobra, profesorze Donne, rozumiem. A co z profanacją zwłok w *Iliadzie*? Gdzie w tym wszystkim jest Homer i temat twojej pracy? Co na to Gordon?

– Cóż, w greckich papirusach można znaleźć całkiem dużo Homera. Był wtedy najpopularniejszym autorem. Pierwszych bestsellerów. A co do Gordona, węzła gordyjskiego na miarę małego wydziału małego uniwersytetu, to każdy orze, jak może. Zmęczony promotor mojej pracy powiedział to, co zawsze mówi: „Po prostu znajdź sobie temat, na który będziesz miał coś do powiedzenia". Nie sądzę, żeby w ogóle go obchodziło, co robię przez cały rok. On...

Piknął telefon Gail.

– Ten esemes może poczekać, prawda? Chyba nie. Chodź, Helen, kończ jeść, bo inaczej spóźnisz się do szkoły. W każdym razie jestem im potrzebny nie ze względu na moje badania homeryckie, ale ze względu na znajomość greki. Całkiem niezłą. No i to Oksford. Mają tam największy wydział studiów klasycznych na świecie.

– Słucham?

– Chcesz, żebym zrezygnował ze stypendium w Oksfordzie?

– Chcesz, żebym zrezygnowała z pracy?

Gail zawsze była praktyczna, o tak. Ale czy życie to coś praktycznego? Nie lubiła swojej pracy, stale na nią narzekała. Na godziny, presję, stres.

– A co by się stało, gdybyś tak zrobiła? Nie wolałabyś robić czegoś, co kochasz? I pomyśl tylko: rok w Anglii.

– Ktoś w tej rodzinie musi zarabiać na życie, Harlow. Homer płaci pensję minimalną.

Ile na wadze życia waży marzenie, a ile rzeczywistość? Co przeważa szalę?

– Dobra, musimy iść – rzuciła Gail. – Jedziesz dziś po zakupy, prawda? Aromat waniliowy, nie zapomnij. I twarożek bez soli.

– Porozmawiamy o tym później, Gail. Pomyśl, ile to by znaczyło dla mojej kariery. Ty i Helen mogłybyście odwiedzić mnie w Boże Narodzenie. Już, już, już, dziewczyno, wkładaj buty i wychodź! Zaczekaj, miska do zmywarki. Helen, czy wiesz, że Aleksander Wielki spał z egzemplarzem *Iliady* Homera pod poduszką?

– Pod p o d u s z k ą?

– Uhm.

– Codziennie rano musiała boleć go szyja.

Pospiesznie wyszliśmy z domu, wszyscy troje, Gail do pracy jako dyrektorka w firmie zajmującej się pakowaniem mięsa, ja na zajęcia indywidualne ze studentami, a ty do szkoły.

Ale dwóch wojowników miało zatoczyć koło i ponownie stanąć naprzeciwko siebie.

gdzie nieszczęśnicy snują się błędnie jak cienie **(9):** – Czy rano naprawdę nie mogłaś mnie posłuchać przez pięć minut? I nie spodobała mi się ta uwaga, że Homer płaci pensję minimalną, w dodatku powiedziałaś to przy Helen. Co to jej mówi o wartości życia umysłowego?

– Ona ma siedem lat, Harlow.

– Chodzi o ton, o ten t o n. Nie jest na niego głucha. I to ja się nią zajmuję, odkąd wróciłaś do pracy, a jednocześnie studiuję i prowadzę zajęcia dla studentów prawie na cały etat. To mnóstwo pracy za niewielkie wynagrodzenie, masz rację. Ale i nasza córka, i Homer są inwestycją, która się opłaci.

– Z a j m u j e s z się nią? Co to, jesteś samotnym ojcem? Ona nie ma matki?

– Dużo pracujesz.

– Owszem, a potem wracam do domu i również zajmuję się naszą córką.

– Uszło to mojej uwagi w wiele wieczorów i weekendów.

– Jasne, że tak. Świetnie ci idzie pisanie historii od nowa.

– Nie, świetnie ją odczytuję. A wracając do kwestii Oksfordu... Wiesz co? Myślę, że rozłąka dobrze nam zrobi. Pozwoli nam złapać oddech. Da szansę na reset.

Gail popatrzyła na mnie twardym wzrokiem.

– Naprawdę? Dobry tatuś myśli, że wyprawa morska pod Troję rozwiąże nasze problemy? A jak posłużyła Grekom?

– Tak jak powiedziałem, chodzi o ton, ten t o n.

I tak to się zaczęło, jak zawsze, od przypływu lekkiej niechęci, która wywołała następny przypływ lekkiej niechęci, potem następny i następny, i tak wet za wet, aż nie wiadomo skąd w wieczornym zaciszu sypialni zabłysnął pełen zarys kłótni domowej, jasna konstelacja nieskończonej zajadłości. Wtedy wystarczyło tylko wypełnić kontury kolorem, czemu oddaliśmy się z pasją. Zesztywnieliśmy, zacisnęliśmy usta, posłaliśmy gniewne spojrzenia, zaostrzyliśmy ton. Każdy nasz zarzut wywoływał kolejny, wykrzyczany albo wysyczany – bez znaczenia, dopóki osiągał cel. Wzajemnie się do tego

zagrzewaliśmy, coraz mocniej i dosadniej, ładowaliśmy w słowa tyle uszczypliwości, ile tylko mogły unieść, dźgaliśmy wzajemnie w swoje słabości, wyszydzaliśmy wzajemnie swoje przewagi, dodawaliśmy do tej starej historii nowe chwyty, więcej ognia, więcej jadu, więcej złości, co tylko chcesz, przypominając sobie, że żaden żal nie zostaje wybaczony i zapomniany. Trwało to i trwało, aż zmogło nas zmęczenie i położyliśmy się do łóżka, odwróceni do siebie plecami. Milczenie osiągnęło punkt wrzenia, a temperatura emocjonalna spadła poniżej zera.

Czy jest coś bardziej nużącego albo wyczerpującego niż kłótnia w relacji na krawędzi rozpadu? To ta część *Iliady*, której nigdy nie lubiłem, pod koniec pieśni trzeciej. Mogę znieść arogancję i głupotę, pożogę i zniszczenie, nieuchronność przeznaczenia i upadek całych cywilizacji – tylko nie sprzeczkę domową. Helena zostaje wezwana przez Afrodytę, przebraną za ukochaną starą służącą, aby poszła do Parysa, który jest w ich sypialni. To wezwanie jest łagodne, w formie zachęty, ale gdy Helena się sprzeciwia, Afrodyta ukazuje jej się w swojej boskiej postaci, pełna gniewu, i dygocąca śmiertelniczka oczywiście się podporządkowuje. W ich okazałym gniazdku Helena jest zmienna jak Afrodyta: najpierw gromi Parysa za jego nieudolność na polu walki, a po-

tem się z nim kocha. Ma powód do niezadowolenia. Parys właśnie stanął do pojedynku z Menelaosem; starcie to miało rozstrzygnąć na korzyść tych albo tamtych straszliwy wieloletni konflikt między Grekami a Trojanami, zwycięstwo jednego z nich miało zdecydować o wygraniu wojny przez daną stronę, ale Afrodyta spowiła Parysa gęstą mgłą i zabrała go, zanim zginąłby z ręki Menelaosa. Pojedynek został przerwany, a wówczas trojański łucznik, Pandaros, zwiedziony przez Atenę, strzelił do Menelaosa i go ranił, co unieważniło umowę. Było po pojedynku i wojna zaczęła się na nowo.

Takie są zasady epopei greckiej: wielki rozmach, ponadprzeciętni bohaterowie i porywające sceny, no i świetnie. Ale ostre słowa Heleny, słabość Parysa, kłótnia tej pary, potem seks jako placebo – Homerze, czy musisz umieszczać to w greckim eposie? Kłótnie domowe, tak błahe i osobiste, tak małostkowe, nie pasują do pieśni śpiewanej publicznie.

Byłaś w sąsiednim pokoju, w łóżku. Spałaś, Helen? Wątpię. Przepraszam za wszystkie kłótnie, które słyszałaś. Nic dobrego żadnemu z nas nie dały. W epopei greckiej nikt nikogo nie słucha i nikt się z nikim nie dogaduje. Ceną jest piekło.